

## Inwałd zapisany moim sercem i duszą

Dziś, kiedy po latach wspominam miejscowość, z którą związane mam najwspanialsze wspomnienia dzieciństwa i wczesnej młodości, coraz częściej rozprawiam się z moimi emocjami i wewnętrznymi uczuciami, które pozostały we mnie silniejsze niż niejedno późniejsze wydarzenie. Są one tak plastyczne, że zachowują mi nadal posmak prawdziwej rzeczywistości, przybliżają mi dawny pejzaż wsi, nieosiągalny już dziś, a zarazem tak mi bliski.

Wszystko urzekło mnie wówczas ponadczasowym pięknem. Nikt nie byłby w stanie potargać mych nici, które rozprzęgłam między moją dziecięcą osobowością, a inwałdzkim życiem.

Dziś widzę te wszystkie sceny życia obok siebie, scalone w jedną niepodzielną całość i w tym jednolitym kształcie załadowane mam je w świadomości jako żywy obraz, wymownie świadczący o szczęśliwym, niezmaconym, znacząco dziecięcym życiu.

Wiem, w której upływało mi dzieciństwo, moja wiosna życia, malowniczo położona i wtopiona w krajobraz Beskidu Małego, po dziś dzień pozostaje mi na ołtarzu mojej pamięci, a im robię się starsza, tym bardziej tęsknię do tamtych lat, tym wyraźniej przypominają mi się odległe i tak zarazem bliskie czasy, tym wyraźniej ożywa przeszłość, w którą wpatruję się, jak w urzekający obraz, czysty o niepokalanym blasku.

To też liczne uroczyska dawniej miejsca nie wychodzą mi z pamięci, leżą na sercu, i zmuszają często do reminiscencji.

Tu ogarniała mnie pasja grzybobrania – niegasnąca nigdy. Uwielbiałam włóczenie i krążenie po okolicy, poznawać tajemnice przyrody, poszerzać świat pojęć i wzbogacać umysł.

Z wielką pasją wspinałam się po górskich wzniesieniach i patrzyłam jak urzeczona na skąpane w słońcu dzieło przyrody, odcinające się malowniczo na tle zieleni otaczającego mnie górskiego krajobrazu.

Tam też, poszukiwałam namiętnie unikalnych roślin. Zielnik stał się absolutnym władcą, ogarnął mną bez reszty.

Do pięknych przeżyć zaliczam spędzanie wieczorów przy ognisku harcerskim. Jakże lubiałam tamte wieczory. I jakże smutno było mi patrzeć, kiedy gasły ostatnie błyski ogniska i kiedy ciemność nocy rozjaśniała tylko gwiazdna inwałdzka poświata.

Nie mogę wydrzeć z pamięci także hucznych zabaw, festynów, dożynek, urządzanych w pięknym parku, w którym czuło się egzotyczną atmosferę, w którym wzrok przykuwał imponujący pełen majestatu hrabiowski pałac.

## Okres przedszkolny (ochronka)

Wiadomo, że okres wczesnego dzieciństwa to doskonały etap życia, w którym odkrywa się i poznaje świat, ludzi i zwierzęta, kiedy uczy się alfabetu życia, kiedy zaczyna się już bardziej rozumowo rejestrować wiele otaczających dziecko zjawisk i wydarzeń.

Do ochronki zaczęłam uczęszczać w wieku 3 lat. Był to okres nie tylko bajecznych bez trosk dni, urozmaiconych bogatym rejestrem zabaw. Ale oprócz zabaw myślałam przewodnią wychowawczyni, Pani Paździorowej, było by w najbardziej wrażliwym okresie dziecka, w istotnej biologicznej jego fazie rozwoju, mogło się ono jeszcze intelektualnie

rozwinąć. W tym celu powołała do życia prowinjonalny teatrzyk dziecięcy, w którym dzieci mogły wykazać się swoimi talentami, uzdolnieniami aktorskimi, a ponad wszystko, swoją odwagą i dziecięcą ambicją. Nikogo nie wyróżniała. Każdy mógł mieć zaszczyt zagrać przypisaną mu rolę.

Nawet najmniejszy epizodzik, publiczność kwitowała aplauzem, a to wprowadzało każdego młodocianego aktora w swoistą dziecięcą dumę.

Niestety, teatrzyk, w którym i ja brałam czynny udział, przetrwał zaledwie do wybuchu wojny. Od tej pory nasze teatralne widowisko przestało aktywnie działać... Teatrzyk stał się głuchy, cichy, milczący, bezludny.

Dopiero po okresie okupacji, natychmiast ożyło w Inwałdzie nowe teatralne życie, już w bardziej komfortowych warunkach, bo w nowej sali widowiskowej.

Wówczas wielu z nas dojrzało na tyle, że mogliśmy kreować już poważniejsze role i poezje poważnych autorów. W repertuarze nie zabrakło „*Pana Tadeusza*” A. Mickiewicza, dzieła, którego siła artyzmu wzbudzała uczucia każdego słuchacza. Nie mniejszym zainteresowaniem cieszyły się wiersze J. Słowackiego, czy jego „*Balladyna*”. Dużym powodzeniem przyjmowana była powieść M. Konopnickiej, poświęcona dzieciom: „*O Krasnoludkach i sierotce Marysi*”.

Dla mnie wiele emocji wniosło w życie teatralne jedno z przedstawień z utworu „*Irydiona*” Z. Krasińskiego, którego wygłosiłam w żałobnym nastroju nad prowizorycznym grobem.

Najwyższy poziom teatr inwałdzki osiągnął w okresie powojennym, gdy do Inwałdu przybył z wielkim potencjałem inteligencji, wikary o nazwisku Tyrka, który z niezwykle zapalem włączył się do pomocy Pani Paździorowej i już wspólnie opracowywali scenariusz i scenografię – wspólnie także prowadzili reżyserię. Efektem ich współpracy był znacząco wzbogacony walor scenicznego widowiska.

Muszę także podkreślić, że stroje do poważnych spektakli ksiądz Tyrka wypożyczał z teatrów krakowskich, Teatru Starego i J. Słowackiego.

Jak dalece społeczność inwałdzka ceniła sobie nasze przedstawienia niech świadczy fakt, że oprócz wywieszanych afiszy informujących o spektaklach, przypominał o nich także ksiądz z ambony.

Nie mogę nie wspomnieć także, że istotną pomoc w każdym widowisku teatralnym świadczyła także Pani Zofia Skopińska.

### Szkoła rok 1937

Data ważna w mojej biografii, bowiem łączy się z dniem, w którym zapisano mnie w 6-tym roku życia do szkoły i zaliczono w poczet rutynowych uczniów. Nie nękał mnie strach przed szkołą, ale z jakimś odcieniem goryczy przyjąłam ten fakt, bowiem zdawałam sobie sprawę, że nauczyciele zechcą unicestwić mój analfabetyzm nie wiedząc, że ja już w wieku 6 lat posiadałam wpojoną sztukę pisania i czytania, a do tego już i nieźle liczyłam. Toteż na prośbę mamy, przeniesiono mnie do klasy wyżej.

I tu, nie waham się użyć doniośle brzmiącego określenia, szkoła inwałdzka w moim okresie nauki prezentowała wyjątkowo wysoki poziom edukacji.

Nauczyciele cechowali się bogatą wiedzą, byli prawdziwymi spichlerzami mądrości. Szczególnie w okresie okupacji ten wyższy poziom nauczania był wynikiem zaangażowania w inwałdzkiej szkole nauczycieli gimnazjalnych, zwolnionych w ich liceach. A byli to prof. Andruszkiw, matematyk z Bielska i prof. Kublin, polonista z Andrychowa. Toteż, gdy z

programu nauczania usunięto nam historię i geografę, oni, chociaż nie były to ich przedmioty, na swych lekcjach w subtelny, tajemniczy sposób przekazywali nam sukcesywnie tajniki tych drogocennych przedmiotów, wzbogacając tym samym poziom naszej wiedzy.

Nie mogę pominąć również faktu, że mimo koszmarnych warunków, w jakich przyszło nam zdobywać wiedzę, nikt nie żalił się, nie narzekał na los.

Cieszyliśmy się, że nas nie zgermanizowano, że mogliśmy uczyć się także polskiego języka. A przecież były powody do narzekań, bo przenoszono nas z jednego miejsca do drugiego. Z nowej szkoły, do starej. Początkowo z dwoma klasami, a potem do jednej, bo tę drugą trzeba było oddać na mieszkanie Pani Paździorowej. I w tym jednym pomieszczeniu moja klasa uczyła się przez cały okres nauki, a zatem do końca 7-ej klasy.

Pozostałe klasy zmuszone były szukać miejsca na tzw. organistówce. Korzystały także z 2-óch pomieszczeń na plebanii, a nawet z wynajętego prywatnego pomieszczenia u Władysława Mydlarza.

Na szczególne podkreślenie zasługuje całe grono nauczycieli, którzy mimo trudności, jakie musieli pokonywać, nie tylko czuwali nad naszym rozwojem umysłowym, ale roztaczali też wokół nas atmosferę czułości i byli dla nas bezdyskusyjnymi autorytetami, którzy bez względu na wiek traktowali nas z pełną godnością, oddając nam przypisane jako dziecku prawa.

## Chór

W zasięgu mej fascynacji, a może i oczarowania, znalazł się udział dzieci inwalidzkich w parafialnym chórze kościelnym, prowadzonym przez nauczyciela śpiewu Pana Niemca, ze znaczną pomocą syna P. Paździorowej, akompaniatora.

Ta ogromna siła zawarta w śpiewie chóralnym wprowadziła dzieci naszej szkoły w istny konglomerat emocji. Toteż pełne napięcia i wrażeń, przybywały na podbój nowych duchowych doznań. Tu, w tym inwalidzkim kościele, gdzie odbywały się próby śpiewu, odbił się o jego mury podczas chrztu niejeden pierwszy krzyk niemowlęcia, naładowany już wówczas ekspresją, który mógł być zwiastunem talentu śpiewaczego.

Niestety, mnie nie udało się błysnąć talentem. Widocznie ziarno moich uzdolnień wokalnych padło na kamieniste, a nie żyzne podłoże.

Dziś trwam w przekonaniu, że właśnie w inwalidzkim chórze ukształtowała się u wielu z nas wrażliwość na piękno muzyki chóralnej, która do dziś działa na wielu rozczulająco i kojąco.

Ja nie sprawdziłam się wokalnie. Widocznie sport był mi pisany w dalszym etapie moich zainteresowań, bo właśnie z Inwałdu poprowadziła mnie droga na światowe areny sportowe.

## Przygotowanie do wojny

Im bliżej było wojny, tym coraz częściej nad Inwałdem pojawiały się niemieckie samoloty i tym więcej mówiło się we wsi o szpiegostwie i dywersantach, o działalności sabotażystów, konfidentów, których pełno miało się po wsi i okolicy włączyć.

O szpiegostwo posądzano nawet leśniczego Butschera, mieszkającego od lat w Inwałdzie i dozorującego lasu hrabstwa Romerów, który na początku wojny opuścił Inwałd i nigdy do niego już nie powrócił.

Nawoływano, by meldować o znalezionych wszelkich przedmiotach niewiadomego pochodzenia. Ostrzegano nas, dzieci, by nie podnosiły z ziemi niczego, bo zrzucone przez niemieckie samoloty wabiące, tajemnicze rzeczy mogą zawierać środki wybuchowe, a także trujące.

Często słyszało się próbne alarmy. Namawiano do budowania schronów, zaciemniania okien, a nawet przygotowywania zapasów produktów żywnościowych.

Widmo wojny czaiło się już z daleka.

Wobec napiętej sytuacji w kraju, zaczęto zbierać w Inwałdzie fundusze na zbrojenia, pożyczki na FON i FOM. W tę akcję włączyli się hojnie inwałdzanie.

Optymizmem powiało kiedy mieszkańcy Inwałdu dowiedzieli się z radia, że rządy brytyjski i francuski stały się sojusznikami Polski, oferując militarną pomoc, gdyby jej Polska potrzebowała. Okazało się, że było to perfidne kłamstwo.

Osamotniona Polska pozostała nadal obiektem zainteresowania Fühlera. 1 września kanclerz III Rzeszy ruszył na Polskę. Agresja Hitlera stała się faktem.

W niedługim czasie wojska niemieckie dotarł do Inwałdu. Przez wieś zaczęły mknąć wozy amunicyjne, kuchnie polowe, na autach konie.

Nocą żołnierze przejeżdżali przez Inwałd w zupełnej ciemności. Nikt nie odważył się świecić światła. Na dziedzińcu pałacu dostrzec można było coraz więcej stacjonujących żołnierzy.

Coraz częściej odzywały się syreny, zapowiadające atak bombowy.

Nad horyzontem Inwałdu coraz częściej zaczęło spostrzegać się groźne bombowce, coraz częściej słychać było strzały z dział przeciwlotniczych z okolic Oświęcimia.

Jeden samolot rozbił się na polanie w okolicy Krakowicy. Nie wiadomo czy przyczyną była awaria, czy został zestrzelony.

Pobiegliśmy w kierunku wraku, ale nie dopuszczono do niego nikogo w obawie, że może znajdować się w nim jeszcze niezdetonowana bomba.

Do dziś nie wiem co stało się z pilotami.

Był to jeden wypadek samolotu niemieckiego na terenie Inwałdu.

Ale syreny nie milczały. Co jakiś czas ostrzegały przed nalotem.

Początkowo wielu mieszkańców schodziło do schronów, ale też wiele bombowców przelatywało na wsia bez czynienia jakiegś szkody.

W Inwałdzie nie było żadnych zakładów, którymi Niemcy byliby zainteresowani. Toteż do bombardowania mieli ważniejszy cel.

## Ucieczka

W początkach sierpnia w 1939 roku, kiedy nad Inwałdem zaczęły coraz częściej pojawiać się samoloty niemieckie, gdy dotarły wieści o postępach armii niemieckiej, kilkanaście rodzin z Inwałdu, a także i samotni mężczyźni, zdecydowało się, różnymi środkami lokomocji, wyjechać z Inwałdu.

Wśród uciekających, znalazła się i moja rodzina.

Nie pamiętam już skąd ojciec zdobył mały wózek, nawet pojemny, w którym pełnił siłę pociągową, zaś mama z siostrą pchały go od tyłu. Brat pełnił funkcję woźnicy, a ja, jako

najmłodsza, siedziałam sobie w dziecięcym foteliku, nie myśląc o tym, że grozi mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Nawet wówczas, kiedy nadlatywały w naszym kierunku samoloty i trzeba było się chronić przed zrzuconymi nieopodal bombami, ja traktowałam sobie tę ucieczkę jak fajną zabawę. Dopiero kiedy powracaliśmy do swojego wehikułu i zobaczyłam na drodze leżących rannych uciekinierów, zrozumiałam grozę wojennej ucieczki.

I tak przemierzaliśmy kilometry, nie wiedząc gdzie będzie nasza bezpieczna przystań. Kiedy dotarliśmy do Rzeszotar, zatrzymaliśmy się w opuszczonym dworku, w którym pozostała jedynie służba, pilnująca mieszkania i trzody. Tutaj nakarmiono nas mlekiem i chlebem wiejskim, ale ciężkostrawnym, bo bez drożdży. Natomiast smakowite były konfitury i kompoty.

Tu zastały nas wojska niemieckie. To dzięki nim rodzice zrozumieli bezsens swego kroku i postanowili wrócić do Inwałdu.

Powróciliśmy, jak nie do swojego mieszkania. Szabrownicy z łatwością dostali się do wnętrza i dokonali w nim ogromnego spustoszenia, pozostawiając w mieszkaniu jedynie meble.

Rodzice, mimo ogromnych strat jakie ponieśli, znaleźli dla siebie słuszną motywację. Zrabowane rzeczy potraktowali jako wróżebny znak i sprawiedliwe zrządzenie losu. Zrozumieli, że każdy musi zostać ukarany za nieprzemyślane kroki... „Pan Bóg, jeżeli chce kogoś ukarać, to odbiera mu rozum”.

Cieszyli się, że pozbyli się uczucia ciągłego strachu, kiedy w pobliżu nas padały bomby, że powróciliśmy wszyscy cali i zdrowi. Natomiast utracone dobra materialne stały się już u nich sprawą drugorzędną.

## Okupacja

Od początku okupacji niemieckie władze starały się utrzymać w Inwałdzie dyscyplinę posłuszeństwa drogą zastraszania.

Sporządzono listę zakazów, które pod groźbą kary od więzienia, aż do obozu zagłady, należało bezwzględnie respektować, a które znajdowały się w miejscach szczególnie często uczęszczanych. W Inwałdzie nazywano je afiszami śmierci.

A oto lista zakazów, które nie umknęły mi z pamięci:

- sabotaż
- napad na posterunek policji
- zabójstwo policjanta niemieckiego
- napaść na policjanta niemieckiego
- przynależność do formacji podziemnej
- pomoc organizacjom podziemnym
- posiadanie broni
- niszczenie symboli niemieckich
- nieprzestrzeganie godzin policyjnych
- pomoc lub przechowywanie osób pochodzenia żydowskiego
- słuchanie radia
- zgromadzenia publiczne bez pozwolenia
- posiadanie żaren
- niezaciemnianie okien

- nielegalny ubiór trzody chlewnej

Mieszkańcy Inwałdu starali się przestrzegać na ogół zakazów. Jedyne niezdyscyplinowanie dotyczyło działalności konspiracyjno-sabotażowej.

W okresie okupacji Niemcy starali się wykazywać w stosunku do społeczności inwałdzkiej pewną tolerancję. Najistotniejszą pobłażliwością było bez wątpienia odstąpienie od germanizacji. Nie zmuszali nawet do nauki języka niemieckiego. Wyjątek stanowiła 5 klasa, ale po roku zlikwidowano ten język. Nie zabraniano uczyć we wszystkich klasach języka polskiego. Nie zabraniano również obchodzenia uroczystości kościelnych z tym, że musiały odbywać się wyłącznie w obrębie kościelnego dziedzińca.

Z okupacją wiąże się ściśle proces wysiedlania inwałdzkich rodzin, które pozbawiano całego dobytku. Duża część z nich została wysiedlona za Skawę, pozostawiona bez dachu nad głową i bez zapewnienia im środków do życia. A były to dla nich także katusze moralne z racji nieznanej, mrocznej ich najbliższej przyszłości.

Ogólna ilość rodzin wysiedlonych nie jest mi znana. Ponoć 250, ale nie jest to potwierdzone rzetelnym faktem. Wiem natomiast, że jedyną ich drogą wyjścia z tej krytycznej sytuacji było odnalezienie rodzin lub znajomych, którzy mogliby przyjść im z pomocą.

Tą drogą, większość z nich znalazła bazę schronienia w Zagórniku, Rzykach, Wieprzu, a nawet w Potrójnej.

Szczęście mieli tylko ci gospodarze, którzy nie mieli nęcących majątków, bo mogli pozostać w swoich domach i przetrwać względnie spokojnie czas wojny. Ale nie ominęły ich kontyngenty, głównie zbóż, wyznaczone przez władze niemieckie.

Podobnego szczęścia nie mieli już ci mieszkańcy, którzy musieli opuścić własne, bardziej komfortowe domy, w których zamieszkały rodziny policjantów, a w jednym z nich funkcjonował posterunek policji.

Na miejsce opuszczonych gospodarstw przybyli bauerzy i oni stali się tą grupą uprzywilejowaną.

Oni wraz z volksdeutscherami mieli swoje specjalne kartki żywnościowe, na odrębne przydziały towarów.

Polacy otrzymywali także swój asortyment, ale odmiennego typu: czarny, przeważnie zjełczały chleb, przeterminowana margaryna, marmolada z buraków, syrop niewiadomego pochodzenia i tradycyjne tzw. kwargle serowe. Dopóki były świeże, można było je smakować, ale jeżeli termin ich świeżości się skończył, zamieniały się w pełzające robactwo – w ówczas przeznaczone były dla Polaków.

Wszyscy chłopcy i dziewczęta od 14 roku życia mieli obowiązek meldować się w Urzędzie Pracy. Wezwanie urzędowe kończyło się zazwyczaj przymusem do pracy w III Rzeszy albo u inwałdzkich bauerów. U bauerów wykorzystywano ich do wypasania krów, do pomocy przy żniwach, część delegowana była do pomagania leśnikom. Inni mieli za zadanie zbieranie ziół i jagód, które oddawało się do wyznaczonego sklepu. Do ich obowiązków należało również utrzymanie porządku wokół posesji, a dziewczęta angażowano także do prac domowych, sprzątania i do pomocy przy przygotowywaniu posiłków.

Najliczniejszą grupę wywiezioną do III Rzeszy stanowiły dziewczęta. A oto niektóre z nich, które zapamiętałam:

Wywiezione do Volsensdorfu (koło Szpotawy), do olbrzymiego ogrodu owocowo-warzywnego:

Tłomak Helena

**aga**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

Tłomak Józefa  
Bizoń Zofia  
Pietraszek Władysława  
Nowak Janina  
Nowak Władysława

Wywiezione do Hamburga:

Lewicka Maria, do pracy w fabryce broni, przy sortowaniu granatów  
Jerszyn Janina, do tej samej fabryki i tej samej pracy

Do pracy w Inwałdzie w niemieckich rodzinach skierowane były:

Mydlarz Bronisława, zaangażowana u Martensa - policjanta  
Mydlarz Maria, pracowała u Ulmana – emeryta  
Mydlarz Jadwiga, przydzielona została do Maksa – restauratora  
Pietraszek Wanda, usługiwała rodzinie Tregera – policjanta

Z chłopców inwałdzkich w III Rzeszy znaleźli się – znowu ci, których pamiętam:

Kolber Stanisław  
Kolber Władysław  
Stuglik Stanisław  
Skowron Tadeusz  
Skowron Karol

Wszyscy pracowali u bauerów w Sachenkops.

Jedynie Beczała Józef wcielony został do marynarki wojennej.

Z wywiezionych do III Rzeszy, wymienionych powyżej chłopców, nie powrócił jedynie Stanisław Kolber, który został zasypany śmiertelnie hałdami piasku, w których drażył tunele – bez wieści zaginął także Józef Beczała.

Na zakończenie pragnę wspomnieć o jeszcze jednym inwałdzianinie, który będąc już w wieku dojrzałym i pracując w kolejnictwie przy torach, został jako specjalista w firmie Kemna Lemz (oddział Gliwice) przeniesiony do pracy przy budowie torów kolejowych w Oświęcimiu.

Był to Pan Józef Tłomak, którego trzecią córkę Kazimierę skierowano do fabryki andrychowskiej, gdzie zatrudniona była przy produkcji zapalników do bomb. Pozostałe dwie córki, jak już wspomniałam, pracowały już w III Rzeszy.

Pan Tłomak, spośród wszystkich prac, które wykonywała podczas okupacji jego rodzina uważał, że ta jego była najbardziej bolesna do przeżycia i pragnął, by ten widok baraków zniknął mu z pola widzenia bezpowrotnie.

Fala grozy okresu okupacji wytrąciła inwałdzkie dzieci i młodzież z sielankowego życia.

Ale w porównaniu z tragicznym losem, jaki zgotowała wojna większości polskich dzieci, zamęczonych w obozach zagłady, brutalnie oderwanych od rodziców, wywiezionych do III Rzeszy, tych, którym odebrano wszelkie należne dzieciństwu prawa godności, którym chciano narzucić obcą kulturę, mającą na celu ułatwienie ich germanizacji myślę, że los dzieci i młodzieży inwałdzkiej, nawet tych wywiezionych do Niemiec, nie był dla nich aż tak tragiczny.

Największą uciążliwością społeczeństwa Inwałdu w czasie okupacji był brak chleba.

Początkowo mieszkańcy wsi mogli sobie wypiekać chleb ze starych zapasów zboża, uzyskując mąkę przez wykorzystanie żaren. Ale kiedy zapasy zaczęły się kończyć, wpadli na



ryzykowny pomysł. Postanowili bowiem dokonywać kradzieży całych snopków bauerom. To wywołało zrozumiałe oburzenie bauerów i złożyli skargę na policję. Efektem jej był absolutny zakaz używania żaren i pod groźbą kary, odnoszenia ich na policję.

Niektóre gospodynie inwauldzkie podejmowały jeszcze próbę ratowania się z opresji zbieraniem pozostałych po żniwach kłosów zboża, które po wymłóceniu domowym sposobem oraz ubijaniu ziaren tłuczkiem tzw. stęporem, otrzymywały mąkę, z której mogły wypiekać nie tylko chleb, ale także przyrządzać różnorakie mączne potrawy.

Niestety, nieufność bauerów do inwauldzan spowodowała, że zabroniono im także zbierać pozostawione na polach po żniwach kłosy. Zaistniała sytuacja braku podstawowego życiowego produktu, jakim był chleb, przymusiła rodziny chłopskie i nie tylko, do zaopatrywania się w pieczywo z andrychowskiej piekarni Sośnickiego. Ale aby otrzymać jeden bochenek chleba – limitowany na jedną osobę – trzeba było zabezpieczyć sobie miejsce w kolejce już od godziny 18-tej do 6-tej, co wiązało się z bezsenną nocą. Trzeba było zatem korzystać z tzw. „stacza” – to znaczy, że ktoś z rodziny musiał się co 4 godziny zmieniać, by przed otwarciem sklepu wszyscy zebrali się razem i każdy z nich mógł otrzymać swój jedno bochenkowy przydział. Ten problem nie ominął i mojej rodziny: siostry, brata i mnie. Najcięższy okres tych uciążliwości stanowiła zima.

Nie mniej przykrą, kłopotliwą dla mieszkańców wsi sytuacją w okresie okupacji był brak węgla i nafty.

Brak węgla zmuszał do zbierania przez całą jesień chrustu, by zabezpieczyć się na okres zimy. Nierzadko leśnicy świadomie pozostawiali pocięte na małe segmenty kłody drzewa, by łatwiej było je ukryć. Natomiast raz w miesiącu można było także, po długim czasie wyczekiwania, otrzymać z andrychowskiego tartaku odpady drzewne, ułożone w kręgi i związane spoiwem drucianym. W tartaku można było także zaopatrzyć się w trociny, jeżeli ktoś korzystał z pieca trocinowego. Ale o potrzebny do niego także miał węglowy, trzeba było zaopatrywać się już na czarnym rynku, płacąc niemałe pieniądze.

Brak nafty zastępowały świece, ale i o nie trzeba było mocno zabiegać.

Niektórzy mieszkańcy, łącznie z moją rodziną, korzystali z lampy karbidowej, której błękitne światło niemal dorównywało elektrycznemu. Kiedy karbidówka już się rozpałała, kiedy dawała już jasny płomyk, można było przy niej odrabiać już lekcje, czytać, robić na drutach, szydełkować.

Problem był tylko z jej czyszczeniem. Trzeba było ją szybko wyczyścić, bo wypalony karbid twardniał, a jego masa dawała cuchnący zapach. A przed wypełnieniem pojemnika należało przeczyszczyć wszystkie przewody cieniutkim środkiem (drucikiem, szpilką), wówczas lampa oświeślała pomieszczenie swoim mocnym blaskiem, umilając domownikom smutne, ponure, okupacyjne wieczory.

Ale zdobycie karbidówki, niestety, nie było łatwe.

## Andrychów

Dziś przekroczyłam już wrota osiemdziesiątki, a więc sporo lat już przeminęło od mojego pożegnania z Andrychowem i moim ukochanym klubem BESKID, toteż nic dziwnego, że dzisiejsze wspomnienia skłaniają mnie do rozpatrywań i westchnień, nad tym co przeminęło i widzę jak przez pryzmat cały mój dziecięcy i wczesnej młodości świat, który rejestrowały moje oczy, a który do dziś leży mi nieprzerwanie w pokładach pamięci.

Bez cienia zakłamania i z powagą właściwą mojemu wiekowi muszę przyznać, że wszystko urzekało mnie tu wówczas ponadczasowym pięknem. I mimo moje długoletniej rozłąki z Andrychowem i moim ukochanym klubem BESKID- em, przez cały ten okres rozstania, nadal żywo krążyły wokół andrychowskiej atmosfery moje myśli i serce, niepokoiły i zmuszały do reminiscencji.

No bo jakże mogło by inaczej, skoro nie było tu w ówczas dla mnie nic bardziej dobrego, nic bardziej zbawczego, niż duchowa więź z gronem wiernych mi przyjaciół, pełnych życzliwości, jawna nieskrywana sympatia władz klubu BESKID i trenera, osoby niezwyklej szlachetności i rzetelności trenerskiej profesji, a także pełne serca i szczerości uczucia, na które miałam wiele przejawów ze strony oddanych mi koleżanek klubu. Toteż wszystkich ich obdarowywałam dużą sympatią, lubiłam i ciepło wspominam.

A przecież tu w Andrychowie mieszkała wówczas także i moja najbliższa rodzina. Toteż z żywych wspomnień dzieciństwa i młodości, do których sięga moja pamięć najwcześniej, bo już od 4-ego roku życia, wybijają się spędzone w Andrychowie chwile u wujostwa Leokadii i Władysława Cholewków i mieszkającego z nimi Ferdynanda Pachla.

Nie mogę również nie wspomnieć, że w andrychowskim sanatorium dziecięcym, przez długie lata, pracowała moja siostra, do której nierzadko także przybywałam.

\*\*\*

Ach ten Andrychów – jakże mocno lubiłam to miasteczko, ciche, przytulne i na ogół spokojne i w nim te chwile, urocze, swojskie, fascynujące.

Andrychów pozostał mi w pamięci jako małe miasteczko przecięte rzeczką Wieprzówką, położone malowniczo u podnóża Beskidu Małego, któremu patronowało zanurzone w ocenie szmaragdowej zieleni wzgórze zw. PAŃSKĄ GÓRĄ – istna fantazja, jaką stworzyć mogła człowiekowi natura.

Ileż to razy wspinałam się po tym górskim, leśnym wzniesieniu i patrzyłam zawsze jak urzeczona na to skąpane w słońcu dzieło przyrody, na ten wyreżyserowany przez naturę malowniczy górski krajobraz.

Tu mogłam oddychać świeżym, balsamicznym powietrzem, wsłuchiwać się w cichu szept leśnych drzew i urzekający śpiew różnorodnego ptactwa, które nie potrzebowało tekściarzy, kompozytorów, dyrygentów, by zaoferować mi wspaniały, plenerowy koncert.

A jakże wspaniały roztaczał się z tego wzgórza widok na miasto i rysujące się w jego tle kontury strzelistej wieży kościoła. Nawet kominy fabryki braci Czczowiczka robiły na mnie wrażenie.

\*\*\*

W sercu miasta wzrok przykuwał KOŚCIÓŁ późnobarokowy, ze strzelistą wieżą z hełmem, wyraźnie dominującym nad miastem, do którego chętnie wstępowałam. Zawsze bowiem pasjonowały mnie obiekty sakralne, miały dla mnie jakby wyłączność na osobliwy, niepowtarzalny przepych. Toteż w murach andrychowskiej świątyni odnajdowałam także jej unikatowy urok.

W bezpośrednim sąsiedztwie kościoła znajdował dwór z rozległym parkiem i klasycystycznym parterowym pałacem, należący do dóbr hrabstwa Bobrowskich. Przez długi

**aga**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

okres DWÓR był warowną fortecą, dostępną wyłącznie dla uprzywilejowanych, z murem hermetycznie odgradzającym świat od świata szlacheckiego.

Wrota do dworu i PARKU, otworzyły się dla zainteresowanych z chwilą zamieszkania we dworze hrabiny Róży Bobrowskiej. Od tego czasu i ja, będąc w Andrychowie, często rozpieszczałam oczy, wpatrując się w ten baśniowy zakątek, bo było to dla mnie tradycyjne miejsce do spacerów, tym bardziej niebiańskie, że z chwilą przybycia do dworu hrabiny Bobrowskiej, dzięki jej troskliwej opiece, cały obiekt dworski zaczął zmieniać się jak w kalejdoskopie.

Z jakim niebywałym pietyzmem i troską, ba swoistym artyzmem, pomagała, wraz z dworską swoją służbą naturze i dbała o jej klimat, urok, o tę piękną aranżację żywej mozaiki kolorów.

Panią hrabiną Róża Bobrowska, oprócz tego, że była osobą uroczą, ujmującą, nadzwyczaj sympatyczną, cechowała humanitarna troska, by ratować godność człowieka, który przez los zepchnięty został w otchłań skrajnego ubóstwa, czekającego na odzew ludzkiego serca.

Przyjęła zasadę, że nie ma zgody na nieczułość i pogardzanie kimkolwiek, bez względu na to kim ten ktoś jest i w tym celu, by ratować honor tym bezbronnym, upokorzonym, postanowiła przygotowywać co tydzień gorący posiłek, który spożywali na dworskim tarasie. A na pożegnanie dostawali jeszcze suchy prowiant.

Okazuje się, że na dworze hrabstwa Bobrowskich pojawił się bezdyskusyjny autorytet, który z pełną godności powagą, zaczął myśleć nie tylko o rodzinnym bogactwie, ale potrafił wnikać w sferę ludzi ubogich. Stała się jakby misjonarką, krzewicielką prawdziwej dobroci i miłości bliźniego.

Do pięknych przeżyć zaliczam organizowane przez hr. Różę Bobrowską wieczorków przy ognisku, w których uczestniczyć mogli wszyscy zainteresowani tą plenerową, uroczą imprezą. Toteż niemal w każdej z nich nie mogło i mnie zabraknąć, bo zawsze zabierała mnie ze sobą zaprzyjaźniona ze mną hrabianka Ida Romerówna z Inwałdu.

Jakże lubiłam tamte wieczory i jakże smutno mi było, kiedy gasły ostatnie błyski ogniska i kiedy ciemności rozlewającej się nocy rozjaśniała już tylko gwiezdna poświata. Po czym, z natłokiem miłych doznań, odwożono nas do rodzinnych pieleszy.

\*\*\*

Dużą atrakcją Andrychowa były rozległe, malowniczo położone tereny rekreacyjne i obiekty sportowe.

Wiele z tych kompleksów ożyło po wstrząsających latach okupacji. Nie miałym zainteresowaniem zaczął cieszyć się pięknie wkomponowany w pejzaż miasta basen pływacki, z którego i ja chętnie korzystałam. Zrazu zaczął zaludniać się stadion piłkarski, przywrócone do życia zostały korty tenisowe. Obok boisko do koszykówki i siatkówki. Na tym ostatnim obiekcie rozpoczęłam i ja żmudne treningi w klubie BESKID-u i stąd poprowadziła mnie droga na światowe areny sportowe.

I chociaż nie było tu jeszcze komfortowych warunków do szkolenia, to i tak mimo tych niedogodności, można było budować wysoką formę.

Trud trenera Zbigniewa Kmiecica i nasza mozolna praca zaowocowały mistrzowską formę, o czym świadczyć może fakt, że na Mistrzostwach Polski w Lublinie zajęliśmy zaszczytne III miejsce, a ja wywalczyłam awans do Kadry Narodowej. Ten awans do Reprezentacji Polski otworzył mi drogę jako reprezentantce BESKID-u ANDRYCHÓW na pierwszy podbój

**asa**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

moich światowych sukcesów – zdobycia pierwszego brązowego medalu na Mistrzostwach Europy w Pradze, który w tamtych czasach został wpisany w historię znaczącego polskiego sukcesu. Nawet ambasador Polski w Pradze, z tytułu tego triumfu, urządził nam wspólny pożegnalny bankiet.

Z jaką niezwykłą radością i uczuciem dużej satysfakcji postanowiłam ten medal przekazać do klubu BESKID na mojej uroczystości nadania mi godności Obywatel Honorowego Miasta Andrychów, jako dowód mojej niezłomnej wdzięczności i niezachwianej pełnej sympatii do wszystkich współtwórców obu moich sukcesów.

Dziś, kiedy porządkuję wspomnienia z okresu spędzonego w BESKID-zie, mam wrażenie, jakbym nie mogła oddać części tego, co dał mi pobyt w andrychowskim klubie. A przecież to stąd, z klubu BESKID, rozpoczęła się moja droga do światowych i europejskich sukcesów, a także ekspansja do ścisłych finałów Igrzysk Olimpijskich w Melbourne i Rzymie.

\*\*\*

Na uwagę moją zasługuje także Fabryka braci Czeczowiczka, znana wówczas z produkcji wysoko gatunkowych tkanin, z których Pani SZLAGOROWA wyczarowywała dla zawodników BESKID-u atrakcyjne sportowe stroje.

I tu należy poświęcić nieco więcej uwagi tej niezwyklej postaci.

Była osobą nadzwyczaj życzliwą, ujmującą, przez zawodniczkę wręcz kochaną, obdarzoną swoistą wyobraźnią w projektowaniu klubowych strojów sportowych.

Dzięki tym atrybutom roztaczała niezwykle czar wokół siebie i tym samym jeszcze mocniej nas ze sobą zespalała.

Byłam dumna, że zapoznałam i zaprzyjaźniłam się z Panią Szlagorową, matką doskonałego siatkarza andrychowskiego BESKID-u, Tadeusza Szlagora, wybijającego się gwiazdora w tej dyscyplinie sportu, a także późniejszego cenionego szkoleniowca polskiej Kadry Narodowej.

Marzeniem Pani Szlagorowej, w którą wdarł się naturalny patriotyzm lokalny było, by każdy sportowy ubiór zawodniczek klubu BESKID, które zajmowały czołowe miejsca w klasyfikacji kraju, prezentował się okazale. Toteż osobiście odwiedzała Fabrykę braci Czeczowiczka i z wybrakowanych materiałów wybierała kawałki tkaniny, z których mogła jeszcze wyczarować niejedną efektownie prezentującą się strój.

Szczególne względy Pani Szlagorowej zaskarbiłam sobie, kiedy uzyskałam nominację do Kadry Narodowej. Ale jednocześnie uważała, że jako członkini Reprezentacji Polski powinnam występować także w stroju reprezentacyjnym swego klubu, który będzie jego wizytówką i godnie rozsławi jego imię. Toteż z ogromną gorliwością, ba z entuzjazmem, wyszukiwała w żurnalach odpowiedniego modelu dla moich sportowych kreacji. W efekcie tych poszukiwań moja walizka przed wyjazdem na Mistrzostwa Europy do Pragi wypełniona była nie tylko strojami o narodowych barwach z orłem na piersi, ale także bogato wyposażona w skromne, ale gustownie prezentujące się stroje BESKID-U z insygniami tego klubu i mocno wybijającym się nadrukiem „BESKID ANDRYCHÓW”.

Nie mogę pominąć również faktu, że do tej kolekcji sportowych strojów Pani Szlagorowa dołączyła mi jeszcze dwa komplety strojów wizytowych, które z racji istniejącego wówczas ogólnego w Polsce kryzysu, stanowiły dla mnie niezwykle dobroczynny prezent.

**aga**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

Po Mistrzostwach Europy, w niespełna tydzień, wyjechałam na mecz z zespołem Holandii do Amsterdamu. I kiedy wydawało mi się, że może tu zasłynę jako modelka, która wyszła spod igły polskiej projektantki mody „Coco Chanel” – doznałam jednak rozczarowania.

Zetknięcie się z niekłamana rzeczywistością nie tylko otworzyła mi oczy, ale wyrwało mi je wprost z orbit. I chyba w poczuciu buntu – zrodziła się u mnie smępna refleksja...

Zaczęłam zastanawiać się, który kraj jest szczęśliwszy? – czy ten, w którym buduje się zręby socjalizmu, wprowadza kartki na żywność, a Pani Szlagorowa ze ścinek materiału szyje reprezentacyjne sportowe stroje? Bo kupienie czegokolwiek z branży tekstylnej graniczyło wprost ze zjawiskiem nadprzyrodzonym? Czy ten, który zbudował sobie zręby „zgniłego kapitalizmu”, w którym wchodząc do sklepu nago, można wyjechać luksusowym samochodem?

I w tym minorowym nastroju, ze swą walizką z kreacjami uszytymi z polskich odpadów, powróciłam do „ukochanego, socjalistycznego kraju”.

Nie umknął mi natomiast z pamięcią fakt, że przez długi okres przynależności do Polskiego Związku Piłki Siatkowej, a następnie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki nie rozstałam się ze strojem, na którym widniał niezniszczony zębem czasu nadruk „BESKID ANDRYCHÓW”.

A teraz powrócę jeszcze do Fabryki „Braci Czczowiczka”, by uściślić dane tego kombinatu.

Trudno byłoby mi nie wspomnieć, że w Fabryce był zatrudniony kiedyś dziadek mojej mamy, Maciej Cholewka, który zrezygnował z pracy jako urzędnik, by zająć się handlem wyrobami ich firmy.

I w myśl maksymy „Nasz Andrychów, chociaż lichy, przyodziewa świat w drelichy” stał się domokrażcą i sławił wyroby braci Czczowiczka, w wielu krajach Europy. Stąd wyroby Zakłady Włókiennicze imienia braci Czczowiczka, nieobce były w: Czechach, Turcji, Holandii, Austrii czy na Węgrzech. Te państwa zapamiętałam z przekazu mamy.

Nie mogę także pominąć wydobytego ze skrytek pamięci faktu, że w okresie uczęszczania do liceum w Bielsku Białej, musiałam mieć obligatoryjnie przez miesiąc praktykę w przedsiębiorstwie przemysłowym w dziale księgowości. Ponieważ wybór zakładu był dobrowolny – wybrałam sobie Fabrykę „Braci Czczowiczka”.

\*\*\*

W pamięci ożywa mi także wspomnienie, że w andrychowskim miasteczku w wieku niespełna 8 lat, odbyło się moje pierwsze poważne zetknięcie się z kinem.

Z jakim przejęciem i fascynacją patrzyłam na ten stożek światła bijący z projektora, rozcinający ciemność sali i rozjaśniający srebrny ekran, na którym pojawił się niemy wówczas film. I chociaż sfera znaczeniowa filmu nie mogła trafić do mojej naiwnej, infantylnej jeszcze wyobraźni, to sam fakt, że zetknęłam się po raz pierwszy z kinem, dawał mi ogromny ładunek emocji.

\*\*\*

**aga**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

W splot pamięci wpisuje mi się również atelier Aloizego Stuglika, którego talent i znakomicie wypracowany styl ujęcia obiektu powodował, że wychodziło się na zdjęciu korzystniej, niż w rzeczywistości.

Toteż olśnił moją rodzinę i dzięki niemu w rodzinnym naszym albumie mieści się bogaty zbiór unikatowych epokowych fotografii.

\*\*\*

Nie mogę także stępić wpływem czasu częstej pomocy ze strony doktora Apolinarego Wietrznego, który w dzisiejszych czasach, nazwany byłby „lekarzem pierwszego kontaktu”.

\*\*\*

Ze skrytek pamięci wydobywam także, dobrze funkcjonujący wówczas w Andrychowie tartak, z którego i ja korzystałam jeszcze w okresie okupacji, kiedy na rynku brakowało węgla, a w tartaku można było nabyć specjalnie formowane szczapy z odpadów drzewnych, otoczone metalową obręczą.

\*\*\*

Z zarejestrowanych w pokładach mojej pamięci faktów wydobywam niezatarte przeżycia, jakich doznałam w 1938 roku, nocując u wujostwa Cholewków w Andrychowie – a była to cudowna ZORZA POLARNA.

Całe niebo zaczęło świecić kolorem w różnych odcieniach szkarłatu, purpury, zatapiając gwiazdy i wywołując osobliwą scenerię.

Po pewnym czasie fosforyzujące wstęgi światła powoli zaczęły gasnąć nad widnokresem, by po chwili znikły ich bliski, a niebo złożyły już tylko andrychowskie gwiazdy.

Ten obraz zatrzymał mi się tak mocno w pamięci i tak silnie utrwalił, iż nawet dziś po tylu latach nie potrafię oswobodzić się od fascynacji tym niepowtarzalnym zjawiskiem.

Po tym spektaklu natury ciocia Cholewkowa spojrzała na nas jakimś posępnym wzorkiem, by po chwili zadumy skierować do nas pytanie: czy nie jest to jakiś znak kataklizmu? Znak Boży? Nikt, jak sobie przypominam, nie potraktował cioci proroczych słów poważnie.

A jednak! Bowiem za rok 1.09.1939 roku rozpoczęła się zbrojna inwazja Hitlera na Polskę.

## Synagoga

Wabikiem dla mnie była także andrychowska synagoga. Czarowała i wprost urzekała mnie oprawa plastyczna w środku tej świątyni modlitwy, z dekoracjami rzeźbiarskimi i

zdobieniami malarskimi, Ale ponad wszystko pasjonowały mnie efekty świetlne, płynące ze zdobniczych lichtarzy, menory oraz i czarem i urokiem przytłaczającego żyrandolu.

Ewenementem dla mnie był balkon na piętrze, przeznaczony dla kobiet, który otaczał salę modlitewną.

Synagoga, bez względu na wyznanie czy narodowość, była dostępna również dla chętnych osób, zainteresowanych świątynią. Wiele z nich, w tym i ja, przybywało do niej z chęcią posłuchania porywającego, najszlachetniejszego gatunku barwy głosu, bo każdy niemal duchowny rabin dysponował podobnym jego kolorytem.

Na szczególną uwagę zasługiwały krasomówcze przemowy o cudownym operowym brzmieniu rabina Davida Avigdora, zapewne oparte na dogmatach religijnych – szkoda, że dla mnie niezrozumiałe, ale i jego tembr głosu przykuwał moją uwagę.

Wyobrażam sobie społeczność żydowską, dla której treść jego słów była w pełni zrozumiała, dzięki temu trafiała w każdą ich sferę świadomości i tą drogą wnikała w głębię duszy każdego słuchacza, umacniając z nim wspólną duchową więź i wprowadzając go w stan nabożnego olśnienia.

Trzeba tu także podkreślić, że każda msza odbywała się w ogromnym skupieniu, ciszy i towarzyszącej jej powadze chwili.

Niestety, świątynia żydowska stanowiąca duchowy dom modlitwy, musiała ulec spaleniu, bowiem Hitler wydał rozkaz, że wszystko co miało jakikolwiek związek z żydowską historią, ma być unicestwione i obrócone w proch albo gruzy.

Życzenie Hitlera było nieuchronne, toteż już na samym początku okupacji w miesiącu listopadzie w 1939 roku bożnica żydowska została przez nazistów spalona i zamieniona zgodnie z życzeniem Hitlera w gruzowisko.

Jeszcze dziś ogarnia mnie dreszcz, gdy przywołam sobie w pamięci to bolesne uczucie żalu, rozrzewnienia, jakich doznałam, kiedy przybyłam na drugi dzień na miejsce jeszcze tak niedawno przykuwające moje oczy. Zamiast żydowskiego sanktuarium ukazał mi się obraz, dogorywającej świątyni. Z pełną dozą szczerości przyznam się, że synagogę traktowałam jak mój katolicki kościół. Także i w niej odnajdywałam otuchę i modlitewny nastrój.

W pobliżu synagogi znajdowała się specjalistyczna piekarnia, przeznaczona do wypieku mac, które tradycyjnie spożywano podczas Święta Paschy. Także i ona, wraz z synagogą, padła pastwą złoczyńców spod znaku swastyki.

W pamięci pozostał mi cmentarz żydowski, na który przybyłam z ciekawości, że na tym starym kirkucie odnajdę jakieś charakterystyczne symbole dla starej epoki judaizmu... Niestety, mocno się zawiodłam, bo cmentarz pozostawiony został na pastwę losu.

\* \* \*

Kiedy zanurzam się myślą w przedwojenną przeszłość, przypominam sobie, że z niecierpliwością wyczekiwałam na organizowany w Andrychowie jarmark, na którym tradycyjnie oferowano do sprzedaży konie, do których od dzieciństwa wykazywałam dużą sympatię...

Wiele uroku dostarczały mi źrebięta, bo one najmocniej przemawiały mi do serca. Przy nich spędzałam zawsze większość wolnego czasu, bo musiałam się z nimi przywitać, a potem i pożegnać.

Z ciekawością obserwowałam atrakcyjne ludowe stroje przeкуpek. Pasją moją było także podsłuchiwanie targujących się sprzedawców z klientami. Słowem, targowisko było dla mnie niemalą atrakcją.

**aga**

Archiwum  
Gminy  
Andrychów

W zasięgu jarmarku stała sobie w zaciszu cichutko, skromnie kapliczka z figurką św. Floriana, patrona strażaków, który czuwał, by ktoś nie wznicił na jarmarku pożaru.

Dawniej w każdej niemal chałupie na tragarzu wyryta była do niego prośba z napisem: „Błogosław Panie to nasze mieszkanie, zachowaj od ognia Święty Florianie”.

Niestety, nawet ta cicha, spokojna kapliczka otoczona szpalerem chroniących ją drzew, nie oparła się przed palającymi nienawiścią do polskiej chrześcijańskiej kultury nazistami i z nieokiełznaną, rozszalałą głupotą w 1943 roku postanowili dokonać jej dewastacji.

## Potrójna

W okresie mojego sielankowego dzieciństwa przyszła także fala grozy, która zakłóciła mój szczęśliwy etap życia.

Zostałam wyrwana raptownie z radosnego świata i stanęłam w obliczu wrześnieowego dramatu II wojny światowej. Pozostała mi jedynie tęsknota za Andrychowem, za bezpowrotnie straconymi dniami, które, w niezmienionych warunkach, mogły być piękniejsze.

Wojna rzuciła wujostwo Cholewków na Potrójną.

Od tej pory rozpoczął się zupełnie nowy rozdział mego życia. Otworzyła mi się wrota do znacznie uboższego świata, bo na śródgórską wieś. Co było dla mnie szczególnie bolesne, straciłam całkowicie kontakt z Ferdynandem Pachlem już do końca wojny.

Na Potrójnej pozostał mi wspaniały widok z jej wzgórza. Lubiłam sobie tam siadać na zboczach wzniesienia na skalnym kamieniu i patrzeć na przepiękny krajobraz, który zlewał mi się z horyzontem, za którym stęsknionymi oczami wyobraźni dostrzegałam zawsze ukochany mój Andrychów.

Na Potrójnej wujostwo Cholewków przetrwało wojnę, po której powrócili jeszcze do nauczania w swoich andrychowskich szkołach, a wraz z nimi powrócił także mój błysk radości, bo do rodziny wujostwa i do swojego uwielbianego Andrychowa zawitał również Ferdynand Pachel, ucieleśnienie pedagogicznego ideału, jakże gorliwie pomagający moim szkolnym pedagogom wykuwać szlak przyszłego mojego życia.

Z nieklamana nutą szczerości, pragnę podkreślić, że każde moje z nim spotkanie pozostawiało trwałe ślad w moim dziecięcym umyśle. Ponieważ w wieku 5 lat posiadałam w miarę dobrze wpojoną sztukę czytania i pisanie, toteż Pan Pachel podrzucał mi do czytania dobraną do mojego poziomu intelektu dziecięcą „literaturę”. Zadawał mi również zadania domowe, z których musiałam rozliczyć przy każdym z nim spotkaniu. A takie spotkania wypadały co sobotę. Taki proces dokształcania, niestety, trwał wyłącznie do wybuchu wojny.

Po jej zakończeniu, kiedy powrócił do Andrychowa, nie miał już siły, by zaangażować się do jakiegokolwiek pracy. Ja, wiedzioną tęsknotą za nim, udałam się do wujostwa Cholewków, by go entuzjastycznie powitać. Już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że piętno cierpień, udręczeń, upokorzeń uczyniły swoje.

Kiedy składałam na jego drżącej dłoni pocałunek, on objął mnie z ojcowską czułością – a ja wsłuchiwałam się już tylko w jego niemiary oddech i arytmiczne bicie jego serca. Dostrzec można było, że jego płomyk życia zaczyna powoli już przygasać. Usiłował jeszcze spotkać się z przyjaciółmi, ale czynił to już z ogromnym poświęceniem i cierpieniem.

I odszedł do wieczności, spoczął na cmentarzu andrychowskim. A ja, w osobie Ferdynanda Pachla, straciłam ojca mądrości, któremu winna jestem dozgonną wdzięczność i którego do końca życia zachowam w nieprzerwanej, chlubnej pamięci.

## Leokadia Cholewka (zwana także Lolą)

Uzupełniając dane osób, Leokadii i Władysława Cholewków, które wcześniej potraktowałam bardziej skrótowo, a u których spędziłam większość mojego młodzieńczego życia, pragnę je teraz obszerniej przedstawić.

Ciocia Lola była córką Ferdynanda Pachla i niezwykle ciekawą postacią.

Prezentowała duży intelekt, wrodzoną inteligencję, pomnożoną przez duże czytanie. Zajmował ją temat nie tylko szkolnictwa, ale także polityka, literatura, historia, sztuka.

Uderzała mnie zawsze jej niezwykle szacunek dla każdego człowieka, zawsze była czuła na niedolę innych ludzi i ciekawa ich losów.

Niezwykle wrażliwa na piękno i czystość mowy polskiej, zawsze starała się wyplenić z naszej polszczyzny obcojęzyczne naleciałości i mocno uczulała na to swoich uczniów i każdego swojego młodego rozmówcę, także i mnie. Jej puryzm językowy nie uznawał żadnych „kolacji”, a „wieczere”, żadnych „spacerów”, a „przechadzki”, nie „trzewiki”, tylko „buciki”. I chociaż władała biegle językiem niemieckim, nie tolerowała „monetki”, zamiast „portmonetki”, drażnił ją również „exhaustor” zamiast „ssawy” lub „wywietrznika”. Nie omieszkiała nawet w delikatny sposób podkreślić ojcu nieprawidłowość słowa, którego użył na spotkaniu ze społecznością. Jak wiem, Pan Pachel nie tylko nie czuł się obrażony, wręcz dziękował jej za czujność.

Z niekłamaną przyjemnością lubiłam się przysłuchiwać dyskusjom cioci Loli, bo wszystkie one miały jakiś sugestywny dar oddziaływania na mój młody jeszcze umysł... Nie też dziwnego, że przepadałam za jej sposobem mówienia. Imponowała mi dbałością o ładny styl, doborem słów. Z rozmów z nią wzbogacałam znacząco osobisty intelekt i marzyłam żeby kiedyś móc jej dorównać.

Poza pracą pedagogiczną pasją jej była hodowla kwiatów, toteż na jej balkonie i parapecie był bajeczny, kolorowy kobierzec.

Ciocia Lola była także niezrównaną mistrzynią w perfekcyjnym opracowywaniu skondensowanej treści dzieła, by mieć wystarczające pojęcie o istocie ujętych w utworze problemów. Jakże cenne były one dla mnie w przygotowywaniu się do egzaminu maturalnego.

Ciocia Lola miała wiele pasji, ale tym do czego nie wykazywała sentymentu, była słabość do gotowania. Natomiast z zapalem pochłaniały ją wypieki cukiernicze. A już niedościgniona i wyspecjalizowana była w kręceniu domowym sposobem smakowitych lodów. Kiedy już zaserwowano przekąski, kanapki, ciepłe dania etc., na stół wjeżdżały piramidy tego rewelacyjnego przysmaku. Towarzystwo natychmiast zastygało w rozkosznej ekstazie. Boże, jak ja przepadałam za nimi.

## Władysław Cholewka

Szczególne słowa uznania skierować muszę pod adresem Wujka Władka, męża cioci Loli, który również z niebywałą gorliwością wtłaczał wiedzę swym uczniom. Dużą wagę przywiązywał do nieskażonego polskiego języka. I tu znajdował pełną jednomysłność zarówno ze swoją żoną, jak też ze swym teściem, Ferdynandem Pachlem.

Nie szukał sztucznego rozgłosu, ale też nie był obojętny na pozytywną ocenę swej pracy pedagogicznej. Toteż z dumą przyjmował pochlebną opinię rodziców, którzy doceniali jego zasób wiedzy i szanowali go za autentyczną troskę o ich dzieci i ojcowskie uczucia, jakimi obdarowywał oddane mu pod opiekę pociechy.

Wujek Władek był także idealnym i wzorowym ojcem, o wyjątkowej wrażliwości na wszelkie niepowodzenia i cierpienia swoich dzieci. Cechowała go dobroduszość, łagodność, życzliwość i niezwykła wyrozumiałość. Służył także każdemu, kto tylko jego pomocy potrzebował.

Przy jego prezentowanych zaletach z nietajoną dumą muszę podkreślić, że był nie tylko rodzonym bratem mojej mamy, ale także moim chrzestnym ojcem. Ale ponad wszystko, niezwykle przystojnym mężczyzną o uderzającej urodzie i wyjątkowym wdzięku.

Po przeniesieniu się w okresie powojennym mojej rodziny do Krakowa i zamieszkaniu u siostry mamy i jej męża, Piotrowiczów, rozpoczęły się regularne przyjazdy w każdy weekend Wujka Władka, mojej siostry i pracującego z nią w sanatorium dziecięcym Pana Maksymiliana Babińskiego, notabene bohatera spod Monte Cassino.

Jaki to paradoks. Ja marzyłam nieustannie o Andrychowie, oni natomiast o Krakowie.

Nie ulega kwestii, że niebywała gościnność wujostwa Piotrowiczów ściągała do nich liczne rzesze gości, którzy trawili czas na ciekawych dysputach, grze w bridża, szachach i grach w karty, a wujek Piotrowicz olśniewał gości swoją erudycją.

Nie mogę pominąć także faktu, że wujek był zagorzałym sympatykiem teatru. Toteż na każdy nowy spektakl wykupywałam minimum dwie łóżka i całą rodziną uczestniczyliśmy w tej duchowej uczcie.

Tu wspomnę o jednym niezwykłym wujka wzruszeniu, jakie miało miejsce w teatrze J. Słowackiego, na „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego... Ten dramat powstał, jak wiadomo, na kanwie wesela Lucjana Rydla, na którym to weselu mama wujka Władka była z nim w 8-mym miesiącu ciąży. Wówczas wujek Władek mógł słuchać kapeli ludowej jeszcze w łonie matki, teraz odbierał spektakl w całości.

Motywy częstszych przyjazdów wujka Cholewki do Krakowa była także chęć, odwiedzania grobu rodziców i tych, którzy z nimi spoczywają. W tym grobie pragnął także być pochowany, chciał leżeć pod krakowską ziemią. Spoczął jednak na cmentarzu andrychowskim.

## Końcowe refleksje

Nieczęsto się zdarza zbierać takie dowody sympatii, jak w andrychowskim środowisku, którym nie towarzyszą jednocześnie skrywane zafałszowane uczucia.

Toteż wszystkich ujętych w moich wspomnieniach, obcych i rodzimych mieszkańców Andrychowa obdarowywałam wielką sympatią, ceniłam, lubiłam. Do dziś ciepło wspominam wszystkie z nimi spotkania, które zapadły mi głęboko w duszę i pamięć.

Dziś pragnę dobitnie podkreślić, że Andrychów pozostał w moim świecie uczuć wraz z niepowtarzalnym kolorytem błogich doznań i wzruszeń, ze szczególnym podkreśleniem okresu przynależności do klubu BESKID. Dzięki BESKID-owi sport stał się moim sprzymierzeńcem i wymownym reżyserem mego życia. To dzięki niemu w pamięci mej pozostaje mnogość bodźców, jakich dostarczyły mi zwiedzane miasta – te prawdziwe średniowieczne perły, te wspaniałe pomniki przeszłości. Wszystko urzekało mnie swoistym,

osobliwym przepychem, z którego nic nie zginęło w mroku historii, ale i z moich głębokich pokładów pamięci. Jeszcze raz z odcieniem radości podkreślam, że dzięki klubowi BESKID ANDRYCHÓW i jego trenerowi Kmiecowski mogłam zwiedzić lwią część Europy i część świata, gdy przeciętny Polak mógł wówczas o paszporcie pomarzyć.

Na kanwie moich wspomnień, chciałabym tu dobitnie podkreślić, jaki ogromny targał mną żal, kiedy musiałam rozstać się z moim ukochanym andrychowskim miasteczkiem i moim wiernym klubem BESKID i przenieść się do miasta mamy, Krakowa i to już na stałe.

Okres ten okupiłam niejedną łzą wzruszenia i rozrzewnienia. Niestety, zawiły spłot okoliczności, któremu nie mogłam się przeciwstawić zniweczył wszelkie me zamysły, by wrócić kiedyś w te andrychowskie strony i spotkać się mieszkańcami tego miasta.

Niemniej, przez cały okres mego rozstania ze społecznością Andrychowa nieustannie wracałam myślą i sercem do tego miasta, bo przecież nie mogłam zapomnieć, z jaką gościnnością i swoistym ciepłem byłam w nim przyjmowana.

Ale w zrębach mojej świadomości rodziło się też pocieszenie, że odjeżdżając z Andrychowa, zabrałam z sobą ogromny bagaż radosnych doznań i przeżyć. Trudno pominąć mi tu także pocieszający fakt, że ten odczuwalny ból rozstania, łagodził mi ponad 40-letni kontakt ze studentami z tego miasta, którzy stanowili dla mnie stałe ogniwa tego nieprzerwanego łańcucha sympatii i przyjaźni z moją andrychowską „metropolią”.

I może dzięki nim, gdzieś tam, w mojej podświadomości, krążyła nieprzeparta nadzieja, że może los się nade mną zlituje i pozwoli mi wyjechać z moimi studentami, chociaż na dzień i spojrzeć na Andrychów z czarodziejskiej dla mnie Pańskiej Góry.

I jak się okazuje, nigdy nie wolno się od duchowych marzeń oddalać i je unicestwiać, bo marzenia często się urzeczywistniają, gdyż nadzieja jest kotwicą duszy.

No właśnie! I ja nagle wpadam w płomienny zapal, który wtopiłam w nadzieję odwiedzenia Andrychowa. Dostałam bowiem zawiadomienie, że Rada Miejska w Andrychowie nadał mi Honorowe Obywatelstwo Andrychowa.

Czyż mogłam pomarzyć, że zostanę jeszcze – i to w moim nobliwym już wieku, wyróżniona zaszczytnym tytułem, że otrzymam tak chwalebną godność, która wpisze mnie do grona niepospolitych obywateli tego miasta, którego obraz zatrzymał mi się tak precyzyjnie w pamięci i pozostał tak żywo utrwalony, iż nawet po tylu latach nie potrafię się oswobodzić od fascynacji Andrychowem. Toteż ten osobisty sukces wyróżnienia, odczuwam jako dowód do nie tylko nietajonej radości, ale również nieskrywanej dumy. Z pełnym wzruszeniem i nie mniejszym rozczuleniem pragnę jeszcze dziś skierować wyrazy wdzięczności do publiczności, która dodała swą obecnością do mojej uroczystości dodatkowego blasku.

Z głębi serca płynące podziękowania i uściski kieruję także do najmłodszych uczestników, którzy byli dla mnie osłodą i balsamem duszy i swoją aparycją i wdziękiem stanowili żywy ornament upiększający moją uroczystość, a utrwalając się wspólnie ze mną na zdjęciu, pozostawili mi do bogatej mej kolekcji fotografii piękną pamiątkę.